

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 162.

№ 24. Warszawa, 16 grudnia 1905 r. Rok VII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.

Bizony.

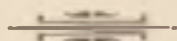
OD REDAKCYI.

Numer niniejszy kończy VII rocznik „Łowca Polskiego“.

W ciężkich warunkach kończymy ten rok, z błogą nadzieją, że może przecież niezadługo z ciężkiej mgły, przesłaniającej cały horyzont pracy ludzkiej, wyłonią się promienie świetlanej wolności, dającej ukojenie duszy, serc i umysłowi, wraz ze spokojem, tak nieodzownym dla każdej produkcyjnej pracy.

Nam będzie lżej pracować, a Wam, mili nasi Czytelnicy, łatwiej będzie przypomnieć sobie o myślistwie i organie mu poświęconym, który jak dotychczas, tak i nadal mieć będzie baczenie nad tem wszystkiem, co się dzieje w polu i w kniei, aby spieszyć do Was z właściwemi informacyami.

Polecając więc nadal poparciu kolegów myśliwych „Łowca Polskiego“, numerem następnym rozpoczynamy VIII rok wydawnictwa.



WIKTOR STEPHAN.

KUROPATWA.

(*Ciąg dalszy*).

Dotąd panuje powszechne mniemanie, że kuropatwy, sprowadzone z innych okolic i wypuszczone na wolność w celu dalszej rozmnoży, nie dają zadawalniających wyników, gdyż w poszukiwaniu za stroną rodzinną przeciągają z miejsca na miejsce i ostatecznie wychodzą po za granice właściwego terenu. Naturalnie, że kuropatwy, sprowadzone z dalszych okolic, obfitych w żer, i za kilka dni wypuszczone na wolność do terenów, w tym celu nieprzygotowanych, przenosić się będą coraz dalej w poszukiwaniu dogodnej miejscowości, aż wreszcie wyniosą się po za właściwy obręb.

Tutaj nie pomogą zalecane sposoby utrzymania kuropatw w pożądanej pozycyi, na nic się nie przydało smarowanie piór, wyrywanie lotek, lub tym podobne, zalecane sposoby, tutaj przedewszystkiem nie kuropatwy, ale teren do przyjęcia kuropatw należycie przysposobić wypada, a wówczas możemy być spokojni: kuropatwy nie wyemigrują nam po za granice właściwego terenu.

W celach hodowlanych, łowi się kuropatwy w jesieni, a to zarówno na potrzeby miejscowe, jak i na sprzedaż. Złowione kuropatwy zimujemy, raz dlatego, aby na wiosnę tyle sztuk wypuścić, ile się w jesieni złowiło, co przy najlepszych warunkach ochrony jest niemożliwe, a powtóre, aby pokryć zapotrzebowania na wiosnę tak obce, jako i własne.

Zimowanie będzie prawidłowe, jeżeli w jesieni złowione kuropatwy przetrwają niewolę w najlepszem zdrowiu, a to da się uskutecznić jedynie w oddzielnych kuropatwiarniach.

Jak zimowa kuropatwiarnia ma być urządzona, podaję obok rysunek. Na rysunku przedstawiony jest widok ogólny, dalej widok z boku, następnie przekrój poprzeczny i przekrój poziomy. Wielkość budynku zależną jest od ilości kuropatw, którą peryodycznie zimować zamierzamy; mniej więcej liczy się tak, aby na każdą kuropatwę wypadło około dwóch łokci kwadratowych powierzchni.

W naszym przykładzie na 60 sztuk kuropatw, pozostałych do hodowli, wystarczy budynek 9 łokci szeroki a 15 łokci długi, wysokość zrębu mniej więcej 4 łokcie. Budynek dla kuropatw stawia się zwykle z dobrych okrajków (oblader) na podmurówce, kryty słomą lub trzciną, i bez pułapu. Większe budynki dzieli się dwiema ścianami na 3 ubikacye, mianowicie na izbę, zasyp i przedsionek. Części składowe i przeznaczenie tych ubikacyj są następujące:

Z OPOWIADAŃ ŻYDOWSKICH.[1]

I. DZIKIE KACZKI.

(Legenda).

Ongi, ongi za dawnych czasów, chodził kupiec żydowski od wsi do wsi, handlując. Raz zaszedł do dóbr księcia polskiego i zatrzymał się tu do wieczora. Gdy musiał już opuścić dobra, prosił księcia, żeby mu dał sługę dla przeprowadzenia przez las, ponieważ nie znał drogi.

Książę był dobrym i porządnym człowiekiem, a bardzo szanował kupca żydowskiego.

— Prośbę twą — rzekł — trzeba zaraz uwzględnić. Mój osobisty kamerdyner będzie ci towarzyszył w lesie.

— Kazimierzu! — odezwał się książę do swego kamerdynera — odprowadź tego żyda przez las i wracaj, ale prędko.

[1]) Opowiadania, która dajemy w przekładzie, znaleźliśmy w jednem z pism amerykańsko-żydowskich i we „Frajndzie“ petersburskim. Autorem „Rewolweru“ jest p. Aaz, drugiego opowiadania Taszrak, pseudonim.

Gdy doszli do lasu, zmrok już zapadał, wierzcholki drzew lśniły się w ostatnich, złocistych promieniach słońca, które zachodziło powoli. Żyd szedł przodem, sługa za nim. Idąc, sługa zauważył, że wargi żyda się poruszają.

— Co mówisz, żydzie? — zapytał kamerdyner.

— Modlę się do swego Boga — odpowiedział żyd. — Zanim słońce zajdzie, muszę skończyć modlitwę.

— Ile masz pieniędzy? — zapytuje sługa.

— Nie mam pieniędzy — odrzekł żyd, przerażony.

— Ty, przeklęty żydzie, ubiję cię na śmierć! Sam widziałem, jak wyliczyłeś księciu sto dukatów, a w torbie zostawiłeś jeszcze więcej.

— Ale to nie są moje pieniądze.

— Żydzie, zabiję cię zaraz! — rzekł sługa.

— Nie czyńcie tego, panie mój, — mówił żyd — będziecie odpowiedzialni za mą śmierć. Morderstwo się ujawni.

— Kto je wykryje? — drwił sługa. — Nikt nas nie widzi.

— Bóg nas widzi — zawołał żyd. — Widzisz, tam dzikie kaczki na nas patrzą. *One odkryją tajemnicę.*

Sługa się roześmiał, zmierzył się ze strzelby i zabił żyda. Gdy żyd upadł martwy, sługa zabrał pieniądze, a zwłoki wrzucił do głębokiego dołu.

Załatwił się z tem szybko i pośpieszył z powrotem do dworu. Biegnąc przez las, zauważył, że

Izba składa się z trzech pełnych ścian i czwartej krótszej, niesięgającej do ziemi, na odległość mniej więcej 30 tu cent.; owa czwarta krótsza ściana stanowi przedział między izbą a sąsiednim zasypem. W tej krótszej ścianie powinna być pionowa szpara takich jedynie rozmiarów, żeby przez nią kuropatwy w zasypie można było obserwować. Potrzeba obserwacyi okaże się przy łapaniu kuropatw. We frontowej ścianie, a na taką należy obrać widoczną stronę budynku, która może być lepiej dozorowana, umieszczone jest podłużne okno. Okno ma być dlatego podłużne, aby oświecało lepiej podłogę, czyli grunt izby, aniżeli jej wyższe partye. Okno jest zewnątrz oszklone, a wewnątrz obite gęstą drucianą siatką, tak, żeby kuropatwy nie czepiały się po siatce nóżkami, a tembardziej nie usiłowały wetknąć między kratki główki, gdyż bardzo łatwo mogłyby się uszkodzić.

Zaszklone okno służy jako zapora przed śnieżycą i wiatrem, a siatka jest z jednej strony przeszkodą, przez którą kuropatwy do okna dostać się nie mogą, a z drugiej - w razie wybicia szyby— zaporą dla szkodników. Izba jest równocześnie największą częścią kuropatwiarni i służyć ma do głównego przebywania kuropatw tak w ciągu dnia, jak i w ciągu nocy.


Kuropatwiarnia. — Widok.

Ponieważ dach pokryty jest słomą lub trzciną i nie ma pułapu, przeto nie ma także potrzeby rozpinać płachty, która, jako środek ochronny przy dachu, krytym gontem, lub przy pułapie, jest niezbędna, gdyż podrywające się kuropatwy mogą się bardzo łatwo uszkodzić o twardy dach, lub wprost śmiertelnie okaleczyć o kanciaste łaty.

Wprawdzie przy podanym tu sposobie urządzenia kuropatwiarni, kuropatwy nie będą nigdy płoszone tak, aby się miały podrywać, gdyż wchodząc do przedsionka, a następnie otwierając drzwi do zasypu, kuropatwy przeciekną do izby bez gwałtowniejszego strachu i tam w spokoju wyczekiwać będą chwili, kiedy się z budynku wydalimy. Przeciwnie zachowują się kuropatwy, jeżeli z przedsionka wchodzić będziemy do izby, wówczas bowiem przeciekną one niepostrzeżenie do zasypu.

Rozumie się, że manipulacya w chodzeniu tak do zasypu, jak i do izby, odbywać się powinna w spokoju i zawsze tak, aby kuropatwom nastręczyć czasu do namysłu, gdzie mianowicie schronić się mają.

W miarę tego, z jakimi szkodnikami mamy do czynienia (szczury, łaski, tchórze, kuny i t. p.), staramy się odpowiednio od nich zabezpieczyć, więc spód, czyli podłogę stosownie do tego układamy z desek, z cegły, lub betonu. Jeżeli niema obawy ze strony drapieżników, to kuropatwiarnia może pozostać nawet bez podłogi, zawsze jednak wysypać ją należy piaskiem, aby się w nim kuropatwy mogły kąpać, czyli paprać.

Dalej dla uprzyjemnienia pobytu kuropatwom, ustawić należy kilkanaście szpilkowych drzew, najlepiej, jeżeli można, świerków, szczególnie wokoło ścian, zostawiając jednak okno w celu przystępu światła, niezastawione.

Przy ścianie, rozdzielającej izbę od zasypu, zawieszona jest stale na kołkach deska takich rozmiarów, jak spodni otwór, a to w tym celu, żeby w razie potrzeby zastawić nią otwór i kuropatwy w zasypie izolować. Do zastawki tej powrócimy przy opisie łapania kuropatw.

Drugą ubikacyą z kolei co do wielkości jest za-

---

dzikie kaczki za nim lecą, jakby goniąc go. Słońce już było zaszło, a sługę strach ogarnął. Przyśpieszył kroku jeszcze bardziej, a gdy wreszcie dotarł do dworu, nabrał znowu odwagi i śmiał się ze swego stracha.

* * *

Zniknięcie żyda wywołało początkowo wielką wrzawę. Szukano go, lecz nadaremnie. Przeprowadzono śledztwo urzędowe. Książę świadczył, że żyd był u niego, a kamerdyner opowiadał, że żyda przeprowadził przez las na drugą stronę, a potem wrócił, żyd zaś stanął tam i modlił się. Wszyscy więc byli przekonani, że z lasu wyszło zwierzę drapieżne, które pożarło żyda, bo nie mając broni, nie mógł stawiać oporu.

Upłynął rok od czasu strasznego morderstwa w lesie.

Książę udał się raz na polowanie i zabrał z sobą kamerdynera. W lesie strzelali do dzikich kaczek; sługa, podnosząc zabite kaczki, przypomniał sobie żyda, który go straszył, że one go zdradzą.

— Zabiłem już także kaczki — myślał sługa z zadowoleniem.

* * *

Po upływie kilku dni książę urządził świetne przyjęcie. Najbogatsza szlachta okoliczna zjechała się, jedząc, pijąc i bawiąc się wybornie w towarzystwie księcia.

Przy stole, gdy wszyscy goście zajęci byli jedzeniem, książę zauważył, że jego kamerdyner nie odrywa wzroku od pieczonych kaczek dzikich, które stały na stole. Sługa patrzył i uśmiechał się.

— Z czego się śmiejesz?—zapytywał książę.—Co komicznego widzisz w kaczkach?

Kamerdyner przed jedzeniem skosztował był za dużo wina, co go zamroczyło. Odparł więc, nie namyślając się:

— Oho, jaśnie panie, to bardzo komiczne. To mi przypomina bardzo komiczną historyę. — I po pijanemu opowiedział całą historyę, jak zamordował żyda przed rokiem i że ten żyd straszył go kaczkami.

— Kiedy teraz widzę kaczkę, muszę się śmiać— kończył sługa.—Dotychczas mnie nie zdradziły.

Gdy książę to usłyszał, zasmucił się bardzo. Spuścił głowę i myślał chwilę. Potem wstał, zawołał kilku lokajów i kazał sługę okuć w kajdany i zamknąć w osobnym pokoju.

Książę oświadczył gościom, że trzeba przerwać zabawę, i wyjaśnił im przyczynę.

Morderca stanął przed sądem i został skazany na śmierć przez powieszenie.

Gdy był już na szubienicy, kamerdyner zawołał:

— Żyd miał racyę. Gdyby nie dzikie kaczki, nigdyby nie odkryto morderstwa.

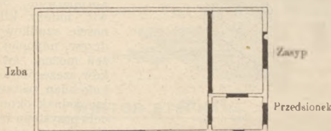
syp, zupełnie tak samo urządzony, jak izba, tylko znacznie mniejszy. W zasypie, ponieważ służy on do zadawania żeru, powinno znajdować się wszystko to, co do wyżywienia i utrzymania przy zdrowiu kuropatw potrzeba. Wypada nam tedy zastanowić się nad



Przekrój pionowy.

tem, czem mianowicie należy kuropatwy żywić, aby je w dobrem zdrowiu do wiosny przechować.

Wielu hodowców jest zdania, że zimowanie kuropatw nie opłaca się, gdyż w niewoli, ziarnem żywione zwykle się zapasają, wskutek czego tracą siłę



Przekrój poprzeczny.

rozplodną do tego stopnia, że w pierwszym roku po wypuszczeniu na wolność, nie wywodzą młodych. Na takie twierdzenie możnaby się zgodzić, gdybyśmy kuropatwy wypuszczali na wolność już w czasie lęgu, lub w czasie niesienia jaj. Tymczasem właściwą porą do wypuszczania kuropatw po przezimowaniu jest koniec marca, t. j. mniej więcej czas, kiedy już zwykle śniegu niema, a więc i kuropatwy na oziminach łatwiej się wyżywić i utrzymać mogą. Z drugiej strony wiadomo, że kuropatwy poczynają się nieść około polowy maja, czyli mniej więcej 6 tygodni po wypuszczeniu. Okres około 6-tygodniowy na wolności przy miernem w tym czasie pożywieniu, jakie nastręcza natura, jest, zdaje się, dostatecznym terminem, aby kuropatwy zeszły z opasionych do stanu normalnego. Podobnego skutku zimowania najmniej się obawiać potrzeba, zwłaszcza, że intensywność, czyli siła żywienia, leży zupełnie w naszej mocy nietylko ilościowo, ale i jakościowo.

(C. d. n.)

DROP.

(Krótka monografia podług opisu Czecha. J. Wytlacila, braci St. i B. Kubickich oraz innych źródeł).

(*Dokończenie*).

Drugi brat, p. B. Kubicki, w liście jeszcze niedrukowanym, pisze między innemi:

„W Królestwie, mianowicie w Rawskiem, raz tylko zdarzyło mi się spotkać dwa dropie z gatunku kamionek *(Otis tetrax)*. Mieszkając przez lat ośm na pograniczu Podola i Besarabii, miałem sposobność napatrzeć się i napolować na tę wspaniałą zwierzynę.

Przybywszy z Królestwa na Podole, dowiedziałem się wkrótce, że jedno z najtrudniejszych, a tem samem najprzyjemniejszych polowań w tamtych okolicach jest polowanie na dropie w stepach. Słyszałem, że ptak ten jest nadzwyczaj ostrożny i że rezultaty polowań najczęściej bywają żadne.

Jako dość wprawny w podchodzeniu zwierzyny, sądziłem, że nie znajdę tak wielkich trudności w podejściu i upolowaniu dropia, jak w rzeczy samej się okazało.

Podchodziłem gęsi, żurawie i inne t. p. ptaki, ale tak ostrożnego i mądrego ptaka, jak drop, nie

II. REWOLWER.

(Humoreska).

W ostatnich czasach mówi się często o rewolwerach. U nas w domu był także rewolwer. Nikt z nas nigdy go nie widział, nikt nawet nie wiedział, co to takiego. Słyszeliśmy tylko, że pod szufladą, w której jest „kasa", w dużej szafie znajduje się boczna szufladka, zamknięta ukrytym zamkiem. Kluczyk od szufladki zgubił jeszcze mój dziadek, a w szufladce, mówiono, leży „coś" strasznego i nabitego, do czego wystarczy się tylko dotknąć, a zrobi „pif-paf", i cały dom, ba, całe miasteczko, uledz może przez to ruinie w jednej chwili.

Ale, że tam leży to „dzikie zwierzę", wiedzieli tylko starsi w domu, ci, co już chodzili koło interesów. Oni opowiadali sobie, że gdy mój pradziadek jeździł końmi do Berdyczowa lub Gdańska na jarmark, woził z sobą ten rewolwer, by ochronić swe mienie przed napadem zbójów. Młodsi jednak, chłopcy z chederów i młodzieńcy z Bethamidraszów, wiedzieli tylko, że tam leży „coś", do czego wystarczy dotknąć się, żeby samo wystrzeliło, i że może świat cały zniszczyć.

O tym rewolwerze krążyły w naszej rodzinie różne historye i legendy. Mój wujaszek Eliukim opowiadał historyę o zbójach, którzy raz napadli w nocy wóz mego dziadka, gdy przejeżdżał gęstym lasem. Ktoś zatrzymał konie i kazał stanąć. Jeden wydobył duży nóż. Dziadek mój zaczął błagać: pozwólcie m przed śmiercią zmówić „spowiedź". Pozwolili mu. Wtedy wydostał rewolwer i zrobił „pif-paf", i odrazu położył czterech trupem.

Byłem jeszcze dzieckiem, a przy historyach wuja Eliukima o rewolwerze, włosy mi się na głowie najeżyły. Nie mogłem nawet zrozumieć, jak mój dziadek-nieboszczyk, którego imię ja noszę (u żydów najbliżsi z rodziny nie mogą mieć tego samego imienia, które nadają dopiero po nieboszczykach) i z powodu czego matka przy każdem przestępstwie strofowała mnie, że nie umiem uszanować imienia dziadka i że on na „tamtym świecie" wstydzi się, mając takiego wnuka, — jak mógł wziąć rewolwer i zabić czterech ludzi. Strach przed rewolwerem, który leżał w tylnej szufladce przy kasie, był tak wielki, że obawialiśmy się, czy pewnego, pięknego „popołudnia", nie zechce sam wystrzelić i zabić, broń Boże, wszystkich w domu. Gdy ojciec mój w sobotę wieczór po modlitwie, żegnającej dobę odpoczynku, dochodził do kasy, żeby wyjąć pieniądze do obrachunku, krzyczał na mamę, która mu przyświecała, żeby trzymała świecę z daleka, bo „on" może się jeszcze rozgrzać i wystrzelić.

Niespodzianie zrobiło się niespokojnie na drodze do Łowicza... Straszono.. Opowiadano, że banda zbójców z Rusi osiedliła się w lesie, prowadzącym do Końskich, a który ciągnie się aż do Rawy, i że mordują... Zabierają wozy, odcinają konie, i nikt nie jest

spotykałem. Wkrótce, po przybyciu na Podole, wybrałem się w gronie tamtejszych myśliwych w step na dropie.

Odjechawszy o kilka wiorst od wsi, ujrzeliśmy na polu, posianem rzepakiem, stado dropi, składające się z 84 sztuk, poważnie kroczących i skubiących listki rzepaku. Wszelkich możliwych forteli używałem, aby zbliżyć się na odległość strzału, jednakże bliżej, jak na 200 kroków, nie dopuszczały.

Drop, z natury leniwy, zrywa się niechętnie, podnosi się nie wysoko, przelatuje stosunkowo nie wielki dystans, jeżeli nie często płoszony, i zapada.

Kilka razy porywały się i zapadały.

Na różne sposoby starałem się podejść, czy podjechać, i wszelkie moje usiłowania były daremne.

Najczęściej udaje się polowanie w kocioł, ale do tego potrzebna jest większa liczba myśliwych.

Na naganke rzadko kiedy udawało mi się zabić dropia, ponieważ na czystym stepie trudno jest znaleźć stosowne miejsce, gdzieby myśliwy skryć się mógł; wszelkich sztucznych skrytek drop boi się i unika. Tamtejsi kłusownicy — małorosi używają sposobu z bardzo dobrym skutkiem, mianowicie: upatrują z wieczora, gdzie stado dropi, wracając z żeru, zapadnie na nocleg; z jednej strony rozkładają szerokie ognisko na przestrzeni paruset kroków od dropi, które całą swą uwagę zwracają na ogień, z drugiej zaś strony, pod wiatr, ostrożnie kłusownik zbliża się do stada na odległość strzału i często jednym lub dwoma strzałami zabija kilka dropi, szczególniej strzelając loftkami, lub siekańcami.

Znałem jednego kłusownika — małorusa, który, jak słyszałem, w ten sposób zabijał rocznie kilkadziesiąt dropi.

Polowanie z wyżłem w grykach i kukurydzach udaje się pomyślnie, bo drop w zbożu przysiada i dotrzymuje niekiedy na kroków dwadzieścia.

Najlepiej udaje się polowanie z podjazdem ze sztucera w późnej jesieni, kiedy dropie żerują na oziminach i rzepakach, które stanowią najlepsze w tym czasie pożywienie dropi.

Śrótem, czy nawet drobnemi loftkami, nie radziłbym strzelać do dropi, chyba jeśli strzał jest krótki. Na dowód tego, jak silnego życia bywa drop, przytoczę tu fakt następujący: strzelałem do dropia z karabinu Berdana na kroków 200 w piersi; kula przeszyła dropia na wylot i wyszła przez grzbiet, powyżej ogona; po strzale drop porwał się, odleciał kroków 15 i padł bez życia.

Innym razem jeden z myśliwych strzelił do dropia w lot loftkami na kroków 80. Trzy loftki trafiły, z których jedna przeszła pod skrzydłami, druga przez kiszki, a trzecia przez uda. Tak trafiony, odleciał z pół wiorsty i padł".

Dajemy w końcu ciekawy opis polowania na dropie w Galicyi, umieszczony w jednem z pism niemieckich.

Słońce już zachodziło — pisze nieznany myśliwy —, gdy w jednym z dni wrześniowych, po daremnem ubieganiu się za zwierzyną w rewirze, na równinie Galicyi wschodniej, ujrzałem chatę, samotnie stojącą przy szosie, źle utrzymanej. Dach, nawpół kryty słomą, a nawpół gontami, był dziurawy, a ściany miały również liczne luki. I zarówno, jak zewnątrz, domek miał wygląd okropny, tak było wewnątrz brudno i nieporządnie. Jedyna izba służyła za pokój sypialny, kuchnię i jadalnię. Nie kazałem sobie nic dać jeść, widząc to rozpaczliwe gospodarstwo; byłem tylko zadowolony, że znajduję się pod dachem, a jako zahartowany myśliwy, nie robiłem sobie nic zresztą z niewygód. Wydobyłem z torby myśliwskiej trochę prowiantów, a najadłszy się jako-tako, otuliłem się w płaszcz własny i usnąłem na ławce. Śniłem o dropiach do czasu powrotu gospodarza, który mi sen przerwał nad ranem. Zapytany, jaki jest tutaj stan polowania na dropie, gospodarz dał mi jaknajlepszą odpowiedź, że w pobliżu znajdują się większe i mniejsze stada dropi.

Ponieważ już niedaleko było do świtu, zerwałem się i szykowałem w drogę. Płaszcz schowałem do torby i po krótkiem śniadaniu z wódką („wutky„—jak pisze niemiec), jedyną potrawą, jaką sobie zafundowałem w chacie, wywędrowałem na równinę ciemną, cichą, w kierunku wskazanym mi przez gospodarza.

Po marszu półgodzinnym dotarłem do lasku i postanowiłem tu czekać rozwidnienia. Powoli zabarwiły się chmury czerwonawo i już można było rozpoznać teren; lubo jednak badałem starannie okolicę, nie odkryłem śladu dropi.

Po chwili wszakże ujrzałem pierwszy wzlot daleko na widnokręgu, gdzie grunt falisty stał się niewidocznym. Podszedłszy ostrożnie do pagórka, za któ-

---

pewny życia. Onegdaj napadli na dwór Łęski, otruli psy, żeby nie szczekały; stróżom wartującym związali ręce i nogi, a usta zatkali słomą, żeby nie krzyczeli, i dostali się do dziedzica, zabrali mu czterdzieści funtów srebra, ściągnęli pierścienie z palców i zostawili go razem z córką prawie bez odzieży. Strach ogarnął całą okolicę. Obawiano się ruszyć z miejsca. Ojciec mój i wujaszek musieli akuratnie wtedy wybrać się w drogę, by zawieźć dziedzicowi zadatek na dwieście worków pszenicy. Rodzina więc uradziła w sobotę wieczór, przy obrachunku, żeby wydostać rewolwer z ukrytej szufladki i dać go im na drogę.

Posłano po ślusarza chrześciańskiego, żeby otworzył szufladkę. Przytem matka moja zaklinała go na życie swych niewinnych, drobnych dzieciątek, żeby był ostrożny; a niewinne, młode dzieciątka schowano u ciotki. Wszyscy wyszli z domu, pochowali się po kątach, a uszy zatykali palcami, aby nie ogłuchli z huku, jaki rozlegnie się, gdy wyjmą rewolwer z szufladki. A w myśli litowano się nad ślusarzem, który może paść trupem na miejscu...

Ślusarz jednak wyjął „faceta" z tylnej szufladki i oglądał go w ręku: stary to był rewolwer, jeszcze „z czasów Nemroda", z cynglem, a zardzewiały, że nie rozpoznać, czy to żelazo, czy skóra. Rodzina moja, widząc, że ślusarz trzyma „onego" w ręku, a jednak nie wystrzelił, ochłonęła nieco, powróciła do izby i zbliżyła się do niego, by obejrzeć go z blizka, jak też wygląda.

Ślusarz tymczasem zaczyna powątpiewać, czy wogóle ten rewolwer jeszcze kiedy będzie mógł wystrzelić, gdy nawet się będzie chciało tego. Rodzina moja się uśmiecha: jak to? rewolwer.. rodzinny rewolwer, który naszego dziadka obronił od wszystkiego złego.

— Słuchajcie, Szloma, „nieoberżnięty" (nie żyd) mówi, że trzeba go próbować odzywa się mój wujaszek do ojca.

— Dobrze na tem wyjdzie, — może zostać bez głowy.

Dwa dni później, gdy mama moja ujrzała w mem ręku rewolwer bez rurki, gdyż z rurki brat mój zrobił sobie piszczałkę, — zlękła się zrazu:

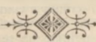
— Nuchem, on jest nabity!

Potem jednak, przypomniawszy sobie, że ślusarz rozebrał go na drobne kawałki i rozdał go nam, dzieciom, na zabawki, — pokiwała głową i odezwała się głosem modlitewnym:

— Wszystko ma swój koniec...

Wszystko, nawet rewolwer rodzinny.

Przełożył *J. Ohr.*



rym, jak przypuszczałem, ukrywają się ptaki, ujrzałem kilka drobnych kupek nawozu, ale nie było żadnych dropi. Mimo to, ukrywszy się za większą kupką, rozglądałem się jeszcze wokoło i nagle ujrzałem stadko, złożone z 5 sztuk, spokojnie żerujące o jakie 15 kroków odemnie. Najbliżej mnie stał silny, stary indyk, który mnie jednak wnet dostrzegł, i całe stado poczęło biedz z gwałtownym pośpiechem. Podniosłem strzelbę do twarzy, a po strzale indyk się przewrócił, raz jeszcze zerwał się na równe „cicki“, zataczał się wokoło i padł martwy. Był to egzemplarz wspaniały.

Pozostałe stado było już wtedy daleko za donośnością strzału. Rozglądam się wokoło i spostrzegam o godzinę drogi wioskę, umieszczoną między sadami, jak mi się zdawało, nad któremi sterczy wieżyczka smukła. Droga do wioski była zupełnie bezludna, bez śladu także wszelkiej zwierzyny. Skierowawszy się w inną stronę, ujrzałem nagle o 600 kroków od siebie, liczne stado dropi, złożone z 14 sztuk, które widocznie dopiero co zapadły, ponieważ przedtem nie spostrzegłem nigdzie zwierzyny. Ale stado to zapewne mnie zauważyło, bo wszystkie razem odwróciły ku mnie szyje; instynktownie rzuciłem się na ziemię, kryjąc się w bruździe, aczkolwiek czyn ten raczej zaniepokoił dropie.

Gdy tak leżałem, przyszło mi na myśl, że nieraz słyszałem od galicyjskich, polskich i rusińskich, myśliwych, iż można ze skutkiem spekulować na silnie rozwiniętą u dropi ciekawość. Widzą one w człowieku największego wroga swego i pilnie go się wystrzegają, czy to w postaci myśliwego, czy chłopa, pastucha, czy baby. Natomiast, gdy zobaczą, że coś się porusza w niezwykły sposób, nie jak człowiek, to jeszcze nieraz same podchodzą, aby nieznane dzieło obejrzeć jaknajbliżej. Niejeden usiłował je podejść ze skutkiem w ten sposób, że za pomocą ram, oblepionych papierem, naśladował jakie niewinne zwierzę, na nim namalowane. Inni radzą kłaść się zwyczajnie na ziemi i nogami wymachywać w powietrzu, co jest również skuteczne.

Nie próbując tego, uciekłem się do innego środka. Przywiązałem dużą, szarą chustkę do wylotu lufy przy broni, w dziwaczny sposób porobiwszy różne supełki. Wszystko razem wyglądało dosyć oryginalnie, a wykonywając tem również dziwaczne ruchy, jak w teatrze maryonetek, posuwałem się naprzód. Zbliżywszy się do krzaku, przystanąłem, by z ukrycia śledzić, co się stanie z dropiami. Z radością ujrzałem, że się zbliżają z wyciągniętemi szyjami, zatrzymując się co chwila. Widząc dobry skutek usiłowań, gorliwie dalej manewrowałem; byłem jednak w ciągłej obawie, że w końcu sztuka mi się nie uda.

Spojrzawszy raz jeszcze z poza krzaku, zauważyłem stadko o jakie 80 kroków, szczelnie skupione, ostrożnie naprzód się posuwające; jedynie przewodnik, również stary indyk, kroczył, nieco wysunięty, na czele. Teraz była pora działania; zerwałem chustkę i leżąc, dałem pierwszy strzał do indyka. Ten runął zaraz, ale jeszcze poruszał się na ziemi. Nagłą detonacyą przerażone, stadko się rozpierzchło, ale po chwili otoczyło towarzysza w wielkiem zakłopotaniu. Miałem teraz sposobność dania powtórnego strzału, po którym znowu padł jeden drop, a drugi był postrzelony; pozostałe odleciały.

Zabrałem wszystkie trzy ubite dropie i udałem się do domu, nie widząc już nigdzie wokoło zwierzyny“.

Z powrotem niemiec natrafił już na porządniejszą chatę gospodarską, gdzie z apetytem zjadł obiad smaczny, po galicyjsku przyrządzony, i wozem wynajętym udał się do poblizkiej stacyi kolejowej.

Rozmaite zatem źródła świadczą, że dropie odznaczają się nadmierną ciekawością, o której pamiętać powinni myśliwi, polując na te ptaki.

Jerz.

Ze wspomnień starego myśliwego.

Pierwszy mój dzik.

(Dokończenie).

Otóż jak tylko wuj mnie spostrzegł, krzyknął natychmiast: „Stój mi, ani się rusz, bo ci sforami każę dać“. Na takie *dictum* oczywiście stanąłem, ale byłem bardzo zirytowany, bo pocóż ja tu jestem, czy po to, aby stać w lesie i nic nie widzieć? Ale bałem się tych przeklętych sfór, chociaż gdybym się był zastanowił, to ich tu wcale nie było, bo i psa przecie nie było żadnego... Z tego niemiłego położenia wybawił mnie dubeltowy strzał wuja. Wiedziałem, że strzelał doskonale, pewny byłem, że dzik już leży, pędziłem więc co siły. Wydobywszy się z gąszczów, dostałem się na las, zupełnie niepodszyty, wuja już nie było, ale dzik szedł do mnie prościuteńko; za nim postępował gajowy. Stanąłem pod sosną, nie wiedząc, co z sobą zrobić. Słyszałem, że najniebezpieczniejszy jest strzał na sztych; uciekać, nie strzeliwszy, to także niepodobna; szczęściem, że dzik szedł także stępa, miałem więc czas namyśleć się. Ruszyłem się mocno, pomogło to, bo dzik skręcił trochę, strzeliłem zaraz w łeb. „Trafił pan“ — zawołał gajowy. Dalej, z drugiej lufy — strzeliłem do boku. „I teraz pan trafił“ — pochwalił gajowy. Czy tak było rzeczywiście, nie wiem. Po tych strzałach dzik puścił się kłusa, ale wkrótce znów stępa iść zaczął. Poszedłem do tropu; właściwie nie było go, tylko rów w śniegu, tak, jakby kto ciągnął za sobą klocek drzewa; po obydwóch jego stronach krew lała się strumieniami. Złączyłem się z gajowym i szliśmy za dzikiem. Parę razy widać zanadto zbliżyliśmy się do niego, bo obracał się do nas przodem, wtedy rejterowaliśmy tyłem. Co mnie spowodowało do tego, żem nie pamiętał na rady, dawane mi na niebezpieczeństwo, na trumnę — nie wiem —, prawdopodobnie musiał mnie podniecić gajowy, ale takie nierozsądne postępowanie możnaby jeszcze wybaczyć młodzikowi niedoświadczonemu i gorącemu, ale nigdy starszemu człowiekowi, który przecież nieraz widzieć musiał, jak to dzik płata psy. Jak długo szliśmy za tym dzikiem, nie umiem określić, pamiętam tylko, że przestał farbować. Kiedy niekiedy spadała tylko kropla krwi i coraz częściej zaczął się puszczać kłusem. Gajowy widać zmiarkował, że dzik nieprędko się położy i pozostał w tyle. Ja więc teraz szedłem sam; ale po co ja szedłem? Gdyby mnie się kto zapytał, nie umiałbym odpowiedzieć z pewnością —, ot szedłem i szedłem. Nie miałem kuli, żeby go zabić, a dzik coraz dalej kłusem odemnie odchodził. Od czasu do czasu dawały się słyszeć strzały, ale z żadnym z myśliwych spotkać się nie mogłem. Nareszcie doszedłem dzika stojącego; przyszło mi na myśl, opowiadanie czyjeś, że zabił dzika śrótem; czemuż i ja nie miałbym tego spróbować? Nabiłem jedną lufę, a podszedłszy na kroków 30 mniej więcej, strzeliłem. Dzik zaraz poszedł kłusem. Idąc dalej za tropem, znowu go zastałem stojącego w gąszczyku sosnowym. Las był nie podszyty, drzewa wszystkie grube. Jeszcze mi przyszła ochota spróbować strzału śrótem. Tym razem nabiłem obie lufy i dałem większe naboje prochu; od drzewa do drzewa zbliżyłem się na kroków 20, a może i bliżej. Że strzelałem z rzutu, szybko, więc palnąłem z jednej lufy za ucho, z drugiej pod łopatkę, a mając na pamięci trumnę, za pierwszem poruszeniem się dzika zacząłem zmykać, wiele nogi starczyły, patrząc, co się tam po za mną dzieje. Dzik pogonił mnie ze dwadzieścia kroków i poszedł swoją drogą, ale coby było, gdyby mnie dopędził?; prawdopodobnie byłoby źle. Gdybym miał doświadczenie i zimną krew! ale tego obojga nie było, mógłbym stanąć przy grubem drze-

wie, dopuścić dzika tuż, tuż i raptem schronić się za drzewo: dzik z samego pędu byłby mnie minął i najprawdopodobniej nie zawróciłby, aby mnie atakować, nigdy bowiem ani człowieka, ani psa długo nie goni. Gdy go dochodzi, mijając, tnie raz i pędzi dalej

Słyszałem raz o takim wypadku: chłop był zajęty robotą przy kłodach drzewa, leżących nad Wieprzem. Z bardzo bliskiego lasu wypadł dzik, atakowany przez psy. Chłop chciał wskoczyć na kłodę, ale ośliznął się i padł twarzą na ziemię, dzik chciał go przewrócić, ale chłop rozpostarł ręce i trzymał się silnie ziemi; skończyło się na potratowaniu. *Si non e vero e bene trovato.*

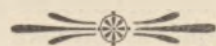
Przedstawię tu jeszcze parę przykładów, dobrze mi znanych, dla pokazania, jakiemi to sposobami myśliwi mogą ochraniać swe życie. Pan P., rządca, czy plenipotent dóbr podówczas bankowych Lewartów czy Lubartów (nie rozstrzygnięte), gdy dzik rzucił się na niego, miał tyle tylko czasu, że się odwrócił, dzik przeciął na nim torbę, ubranie z grubego, węgierskiego materyału, i tem jednem cięciem zrobił mu dwie głębokie rany, które go długo w łóżku trzymały, a potem jeszcze długo siadać nie mógł. P. Z., znany mi nadleśny majorackich lasów leśnictwa Chełm, człowiek czterdziesto kilko letni, nieco otyły, stał pod sosną niezbyt grubą, ale gładką; gdy dzik puścił się do niego, podskoczył i oburącz chwycił się za drzewo, dzik skaleczył mu nieszkodliwie nogę. P. G. znajomy mój, człowiek młody, gdy dzik szedł na niego, podskoczywszy, złapał się za gałąź i tym sposobem uniknął wypadku. Mnie się zdaje, że odskoczenie na bok w chwili, gdy dzik ciąć zamierza, może być równie skuteczne.

Z tego widzimy, że myśliwy zręczny, umiejący się oryentować i myśl swoją szybko wykonać, w każdym wypadku potrafi sobie poradzić. Dobre to jest wszystko, ale pewniejsza będzie chyba zawsze ostrożność.

W dalszym ciągu szedłem za tropem, a myśląc o tych moich strzałach, zacząłem przychodzić do przekonania, że dzika śrótem zabić niepodobna, strzelałem przecież blizko, naboje były silne, a dzik najoczywiściej poszedł zdrów. Po niejakim czasie dał się słyszeć strzał i zaraz jakieś wołania. Stanąłem, przysłuchując się, co to takiego, gdy naraz trąbka pojezdnego zagrała. Pędziłem teraz co siły, a gdym przybył, zastałem ekonoma, a dzik niedaleko siedział na zadzie, mając krzyż przetrącony. Kiedy mu się przypatruję, wpada wuj na swojej kobyłce, a osadziwszy ją, złożył się do strzału. Poskoczyłem i złapałem za lufy, prosząc, aby mi pozwolił dobić tego dzika, ponieważ dopiero pierwszy raz go widziałem; poczciwy wuisko oddał mi strzelbę, z zaleceniem, aby się nie zbliżać zanadto, bo dzikowi nigdy zanadto ufać nie można, i żeby dobrze wymierzyć za ucho, bo to już ostatnia kula. Jakie to twarde życie było w tem zwierzęciu! Nie licząc moich trzech strzałów śrótem, dopiero czternasta kula go położyła, niektóre poprzechodziły na wylot, a widocznie sił mu przybywało. Gdyby nie szczęśliwy strzał ekonoma, byłby nam ten dzik przepadł, było bowiem już blizko obcej granicy, gdzie się za nim ze wszech miar uganiać nie wypadało, a szkodaby była, bo był to odyniec blizko 700 funtów ważący.

Wracając do domu, wydłubywałem mój śrót, który owinięty w t. zw. wełnę świńską, siedział tuż przy skórze, zupełnie więc ufność do śrótu straciłem. Po wielu dopiero latach dowiedziałem się takiej rzeczy: księdzu w sąsiedztwie przyniesiono troje prosiątek, dwa wieprzaczki i świnkę; wieprzaki kazał ksiądz poczyścić i poszły potem na rzeź, świnka chowała się w trzodzie. Przejeżdżając około tej wsi, spotkałem trzodę księdza przy samej drodze; wysiadłem, chcąc się tej maciorze przypatrzyć. Gdym przyszedł na kilka kroków, pasła się najspokojniej, mając przy sobie kilkoro prosiąt czarno srokatych; pytałem się dziewczyny, czy jest bardzo zła, odpowiedziała, że tak, jak wszystkie świnie. Nie widziałem na niej literalnie ani jednego włoska, ale też wyglądała szkaradnie, łeb ogromny, ryj niezmiernie długi, uszy ztyłu odstające, a przy okazałym przodzie zad, stosunkowo bardzo szczupły, co wszystko razem stanowiło zwierzę tak brzydkie, jakiego nie znam, z wyjątkiem wielbłąda. Otóż jeżeli wszystkie dziki są letnią porą takie gołe, to ktoś tam strzelając blizko do dzika w susach, mógł go zabić śrótem, trafiwszy w pachwinę.

K. Dębicki.



Z FRANCYI.

Tegoroczny sezon myśliwski we Francyi zaznaczył się przedewszystkiem szeregiem urzędowych polowań, na których radykalni przedstawiciele rządu francuskiego rywalizowali w sprawności strzelania z koronowanymi przywódcami obu iberyjskich narodów. Po wizycie prezydenta Loubeta w Hiszpanii i Portugalii, podczas której to wizyty odbywały się polowania na daniele, bażanty i kuropatwy, nastąpiła rewizyta króla Alfonsa w Paryżu, urozmaicona pięknemi łowami na bażanty w parku Rambouillet, a zaraz po wyjeździe tego monarchy, stolica Francyi przyjęła w swych murach dom Carlosa portugalskiego, któremu prezydent rzeczypospolitej dał również sposobność wykazania niezwykłej zręczności strzeleckiej. I wszystko odbyło się ku zobopólnemu zadowoleniu: republikański lud entuzyastycznie wiwatował monarchów, a ci znów zapewniali najbliższe otoczenie, że nigdzie nie czują się tak szczęśliwymy, jak w republikańskiej Francyi. Jest to widocznie charakterystyką narodów wolnych, że nie czują uprzedzeń do tej lub owej formy rządu, byleby te rządy zapewniały im wszelakie swobody i należytą opiekę.

Mniej różowo zapatrują się na świat Boży niektórzy myśliwi francuscy, okaleczeni przez swych sąsiadów w początkach bieżącego sezonu. W samej rzeczy, rzadko który rok zaznaczył się taką ilością smutnych wypadków, jak rok bieżący. Każdy niemal numer gazet francuskich przynosi nam świeże wiadomości w dziale „Wypadki na polowaniu“, a dość jest przytoczyć kilka ich ku przestrodze nieostrożnych myśliwych. Znajomy nasz, p. Maxime Duval, jeden z dyrektorów „Compagnie Générale“, ma twarz i obie ręce naszpikowane śrótami, szczęściem oczy mu ocalały. Żona znanego sportsmena, bardzo piękna p. Thome, straciła jedno oko; zachodziła obawa, czy zupełnie wzroku nie straci, lecz zdaje się, że biedaczka uniknie tego strasznego nieszczęścia. Wreszcie syn znanego fabrykanta maszyn do szycia, młody p. Singer, również ma oko wybite śróciną, lecz mniej szczęśliwy od p. Thome, jest zagrożony kompletną utratą wzroku. Podobno biedaczysko od zmysłów odchodzi na samą myśl tego strasznego nieszczęścia.

Gdy się czyta kronikę tych opłakanych wypadków, pomimowoli przychodzi na myśl, czy nie należałoby bojkotować pp. myśliwych, nieostrożnie strzelających?

Obok kroniki smutnych, a często tragicznych wypadków na polowaniu, spotykamy po dziennikach francuskich lub po czasopismach myśliwskich częste utyskiwania na rozwielmożnione we Francyi kłusownictwo, które pomimo przeciwdziałania kilku potężnych stowarzyszeń, rozpowszechnia się coraz bardziej i doskonali w swych fortelach. Dzisiaj żaden właściciel polowania we Francyi nie jest pewnym, czy zarządziwszy polowanie, będzie miał nazajutrz co do strzelania. Dotycze to szczególnej kuropatw, które kłusownicy masowo tępią na danem terytoryum przy pomocy sieci.

Tegoroczne zwierzostany we Francyi wypadły nierównomiernie, tak co do rodzaju zwierzyny, jak i co do miejscowości. Tak np. stan bażantów prawie wszędzie wypadł w tym roku świetnie, zarówno w okolicach Paryża, jak i we Francyi środkowej. Inaczej rzeczy się miały z kuropatwami, których stan w jednych okolicach doszedł zwykłej normy, gdy w innych wypadł bardzo ujemnie. Nawet w jednym i tym samym majątku w niektórych rewirach ten rodzaj zwierzyny rozmnożył się według zwykłej normy, gdy zaś w innych świecił pustkami. Przypisać to należy niewątpliwie burzom, które, idąc zwykle wązkiemi pasami, niszczą jaja lub młody przychówek; chociaż w niektórych rewirach podejrzewać też można rękę kłusowników. Na zające rok obecny był świetny, gdy przeciwnie królików było prawie wszędzie mało.

Sezon nasz w Montresorze (środkowa Francya) zaznaczył się niebywałemi w tej porze deszczami i wiatrami. Na 15 dni, spędzonych w tej miejscowości, tylko cztery wypadły nam pogodne: przez resztę mieliśmy albo silne deszcze, albo wiatry, a często i jedne i drugie razem, co bardzo ujemnie wpływać musiało na rezultaty naszych polowań. Gdyśmy polowali w lesie z gończemi, wiatr nie pozwalał nam swobodnie śledzić za ruchem polowania, a deszcz zalewał tropy, utrudniając psom gon zwierzyny, w polu znów wiatr krzyżował wszelkie plany w nagankach na kuropatwy, a deszcz moczył myśliwych, zmuszając do nakładania krępujących mackintoshów lub peleryn. Zdarzyło się też parę razy, żeśmy polowanie w połowie przerywali, lub wprost z *rendez-vous* do domu wracali, nie widząc możliwości przyzwoitej polówki.

Niezwykłe zdarzenie opowiedział nam jeden z sąsiadów montresorskich, Anglik, p. Charles Barton, właściciel majątku Mesnes, odległego o 20 kilometrów od Montresoru. Wracał on swym samochodem do domu, jadąc z szybkością 60 kil. na godzinę. Przejeżdżał właśnie nocą przez las, gdy naraz z gąszczu wypadł jakiś zwierz i z całej siły uderzył się o koło mknącego samochodu. P. Barton, sądząc, że to pies, jechał dalej, lecz maszynista, obok niego siedzący, zwrócił mu uwagę, że to musi być dzik. Zatrzymano więc samochód i zawrócono. Jakoż w samej rzeczy znaleziono na drodze, żywego jeszcze, lecz ze strzaskanym całym ryjem, niewielkiego dziczka. Dobito go kieszonkowym nożem i zabrano na samochód. Był to przelatek, ważący 26 kilo. Gdyby wypadek zdarzył się z dużym dzikiem, skutki tego spotkania mogłyby być fatalne dla podróżnych. Według zdania p. Bartona, prawdopodobnie stado dzików znajdowało się po drugiej stronie drogi, a ta jedna sztuka, oddzieliwszy się, chciała na łoskot samochodu przyłączyć się do reszty towarzyszów, a niezwykła szybkość pojazdu spowodowała, że zbrakło czasu na wykonanie tego zamiaru. W każdym razie jest to wypadek niezwykły. Słyszałem wielokrotnie o przejeżdżaniu królików samochodami, lecz pierwszy raz spotykam się z wypadkiem zabicia dzika przez samochód.

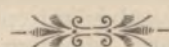
Wspomniany p. Barton posiada do spółki ze znanym nam już z poprzednich korespondencyj, panem Raoul-Duvalem jedyną w okolicy złaję forserów na dziki, składającą się z 80 psów, przeważnie z mieszańców angielskich fox-hound'ów z francuskiemi saintongeois. Psy te nie gonią innego zwierza, jak tylko dzika. Pp. Barton i Raoul-Duval biorą *par force* przez sezon kilkanaście dzików, przeważnie większych, pojedyńczych sztuk, które sami klują, gdy zwierz zgoniony, staje, by się psom odcinać.

W bieżącym sezonie panowie ci wzięli, między innemi dużego pojedynka bardzo ciekawej maści. Jest on bowiem łaciasty, a mianowicie na jasno-żółtawem tle posiada czarne łaty różnej wielkości. Dziki całkowicie białe, (a raczej kremowe) zdarzają się dość często we Francyi i uważałem je zawsze za okazy dotknięte albinizmem, czyli zwyrodniałe. Ten jednak dzik łaciasty daje mi do myślenia i raczej przypisałbym pochodzenie tej maści skrzyżowaniu dzika ze świnią domową. Zdarza się to niekiedy na Litwie i Wołyniu, gdzie albo swojskie samury uciekają do lasu, dziczeją i wiążą się z odyńcami, albo li też odyńce podchodzą pod osady ludzkie i odstanawiają swobodnie włóczące się świnie domowe. Zkąd jednak mogła się zdarzyć jedna z powyższych kombinacyj we Francyi, gdzie świnie domowe są nader starannie pilnowane, tego wytłómaczyć sobie nie potrafię.

Jako *curiosum* wspomnę polowanie w Marolles u państwa Raoul-Duvalów; było nas tam dziewięć osób, reprezentujących aż 4 narodowości, a mianowicie: 2 Anglików, 2 Amerykanów, 2 Polaków i 3 Francuzów.

Na zakończenie mej korespondencyi podzielić się muszę z czytelnikami wiadomością, że mamy obiecany dla „Łowca Polskiego" oryginalny i jeszcze nigdzie niedrukowany opis wyprawy do Afryki Środkowej. A mianowicie, p. Guy de la Motte Saint-Pierre, były oficer marynarki francuskiej, sąsiad montresorski, a zarazem właściciel znacznych obszarów na Madagaskarze, zrobił w tym roku trzymiesięczną (drugą już) wyprawę myśliwską w okolice wielkich jezior, nad jezioro Baringo. W wyprawie tej, jak i w pierwszej, towarzyszyła mu młodziutka i przystojna żona, która przez cały czas prowadziła najskrupulatniej dziennik podróży. Dama ta obiecała nadesłać mi kopię tego dziennika, który w tłómaczeniu podamy naszym czytelnikom. Pan de la Motte zabił 2 lwy, 2 słonie, 3 nosorożce i mnóstwo rozmaitych antylop. Raz o mało nie został podeptany przez rozjuszoną samicę słonia. Co do pani de la Motte, to stała się ona sławną ongi na innem polu, a nazwisko jej dzienniki rozniosły po całej Europie, nawet i do nas. Było to, zdaje się, na wiosnę 1904 roku, w czasie rugowania mniszek z klasztoru w Arras, kiedy wielotysięczny tłum czynił manifestacyę przeciwrządową. Wśród manifestantów znaleźli się też oboje państwo de la Motte, — on w pełnej formie, jako oficer marynarki. W czasie wynikłych z tego powodu aresztowań, pani de la Motte zaaplikowała końcem swej zgrabnej nóżki energiczne kopnięcie w taką część ciała jednego z żandarmów, na jaką nie znajduję wyrażenia w słowniku salonowym. Za ten czyn bohaterski mąż musiał podać się do dymisyi.

Jan Sztolcman.



Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(Ciąg dalszy).

Na długiej linii wielkiego traktu handlowego między starym kontynentem a najdalszym Wschodem, niema punktu równie ożywionego, jak Colombo, pod względem ruchu komercyjnego i tysięcy statków tędy przejeżdżających, z których każdy musi się w Colombo zatrzymać i choć na krótko dla nabrania węgla w jego porcie zabawić.

Szczególnie w latach ostatnich, po ukończeniu, nakładem wielu milionów angielskich funtów sterlingów, sztucznej grobli kamiennej, czyli t. zw. „breakwater" strzegącej przystani od fal nawału, podniosło się Colombo do pierwszorzędnego znaczenia najwa-

żniejszego portu tranzytowego w międzynarodowym trakcie światowego handlu i odniosło całkowite zwycięztwo nad dotychczasową stolicą wyspy Point de Galle, która równocześnie zaczęła upadać i w cieniu zapomnienia schodzić do roli drugorzędnego miasta, zaćmiona blaskiem szczęśliwszej rywalki.

Ażeby dać wyobrażenie o tym jedynym może na świecie ruchu międzynarodowym, który w Colombo nigdy nie ustaje, przytoczę fakt, którego byłem świadkiem: Jednego i tego samego poranku pięć olbrzymich parostatków pasażerskich zarzuciło kotwicę w kolombijskiej przystani, a każdy z innej części świata przypłynął, wszystkie zaś należały do angielskiego Towarzystwa, zwanego P. & O. Jeden przybył z Europy, drugi z dalekiej Australii przyciągnął, trzeci z nad brzegów Japonii, czwarty z chińskiego Shangai, ostatni wreszcie przypłynął z Kalkuty.

Można sobie wyobrazić ruch i gwar, jaki zapanował w hotelu i na ulicach miasta od zastępu licznych podróżnych, którzy wszyscy, po nudnem życiu na statku, choć przez parę godzin tutaj rozerwać się pragną i stanowią pożądany, w mgnieniu oka rozchwytany element dla miejscowych sklepów i bazarów, w których niemiłosiernie złupiają naiwnych często amatorów krajowych ciekawości.

Szczególniej handel t. zw. drogiemi kamieniami Cejlonu, stanowi dla sprytnych handlarzy muzułmańskich szerokie pole oszukańczych tranzakcyj, w których wymowny kupiec potrafi za dziesiątki funtów ubrać bogatego Australijczyka w kawał szkła czeskiego, za miast wychwalanego szafiru lub rubinu.

Można tu wprawdzie znaleźć ładne i cenne okazy drogich kamieni, lecz potrzeba na to czasu i wprawy; co jest zresztą lepszego, idzie wprost do Europy lub bywa rozchwytane przez kupców bombayskich dla dworów hindustańskich królewiąt.

Punktem zbornym wszystkich podróżnych i całego kontyngensu zamieszkałych tu stale Europejczyków, są przestronne tarasy i chłodne werendy wielkiego hotelu, w którym mieszkamy.

Colombo leży na 7 stopniu szerokości północnej i bliskość równika dotkliwie czuć się daje. Tropikalny upał, spotęgowany jakąś ciężką, wilgotną dusznością atmosfery, nadaje tutejszemu klimatowi dziwne podobieństwo atmosfery cieplarnianej; termometr nie schodzi nigdy w dzień i w nocy poniżej dwudziestu kilku stopni Reamur'a, a wskutek niemal codziennych, ulewnych deszczów, powietrze jest tak przesycone wilgocią, iż rzeczy uchronić od niej nie można; suknie, skórzane i metalowe przedmioty, wszystko niemal pokrywa się brudną pleśnią. Bez punki, t. j. sztucznego powiewu i wiatru, czyli naturalnego przeciągu, wytrzymać tu trudno, a ujemne skutki kolombijskiego klimatu widać na bezkrwistych, bladych, jakby wycieńczonych obliczach Europejczyków, szczególnie kobiet i dzieci, jeżeli tu dłużej mieszkać są zmuszone.

Zaraz po przybyciu rozpocząłem kampanię, w wytkniętym celu urządzenia wycieczki myśliwskiej w głąb wyspy, i ku wielkiej mojej radości wszystko ku temu ślicznie się składało.

Muszę tu znowu wspomnieć o panu v. Raden, który, dowiedziawszy się o moich projektach, niemało mi pod tym względem oddał usługi. Przedewszystkiem zarekomendował mi krajowca, nazwiskiem Soult, którego fachem jest urządzanie wypraw myśliwskich, i o którego zaletach jeszcze w Europie słyszałem.

Niespełna w godzinę po wylądowaniu, Soult był już u mnie w hotelu. Ułożyliśmy w głównych zarysach marszrutę i wyprawę, i zajęli się zaraz zakupem potrzebnych przyborów i zapasów do obozowego życia.

Wieczorem główna część przygotowań była na ukończeniu; pozostało tylko uzyskać od władz rządowych „licencyę", czyli pozwolenie na polowanie na słonie, i zaopatrzyć się w potrzebne rekomendacye od gubernatora do komisarza rządowego prowincyi, w której mieliśmy polować.

Mimowoli przychodzą mi na myśl trudności, z jakiemi miałem do walczenia w Indyach, nim przez wyjątkową grzeczność pułkownika Gerard'a dostałem się do miernych „Shooting-groundów" około Goony; wiele zachodów, starań i rekomendacyj było potrzeba, nim do powyższego rezultatu w Indyach dojść zdołałem.

Na Cejlonie inaczej się dzieje. „Shooting-groundy", czyli poszczególne rewiry, o ściśle określonych granicach i stosunkowo niewielkiej przestrzeni, nie są w niczyjem, faktycznem władaniu; niema między niemi wielkiego wyboru, bo wyspa sama nie jest zbyt wielka i cywilizacyą ogarnięta; wojska angielskiego mało, a zatem mało oficerów, i co za tem idzie, mniej myśliwych. Nadto Cejlon jest jakby nie w modzie u angielskich sportsmenów, którzy go rzadziej w czysto myśliwskich celach odwiedzają, i nie bywa tu takich tłumów myśliwych, jakie rok rocznie do Indyj lub Afryki na łowy się wybierają.

Mając „licencyę" od rządu i dobrego przewodnika, jest się panem sytuacyi, i każdy może sobie wyprawę urządzać, jak zechce i jak umie, a rezultat jej od stopnia tej właśnie umiejętności zależeć będzie. Bo zwierza jeszcze dużo, ilość słoni, dzięki ochronnym przepisom, wzmaga się i łatwiej się do nich dostać, niżby się zdawać mogło.

(C. d. n.)

Fotografowanie dzikich zwierząt.

Niedawno wyszła nader ciekawa dla myśliwych książka niemiecka C. G. Schillings'a p. t. *„Mit Blitzlicht und Buechse"* (dosłownie: „Ze światłem wybuchowem i strzelbą"). O książce tej, do której powrócimy jeszcze, poświęcając jej większą pracę, znajdujemy parę zajmujących szczegółów w czasopiśmie „Fotograf Warszawski", który pisze między innemi: Nie brak książek, opisujących mniej lub więcej ciekawe łowy na grubego zwierza, zamieszkującego wnętrze czarnego lądu. Ba, nawet i nasza literatura posiada takie prace, pióra Józefa hr. Potockiego i Jana Sztolcmana, bogato ilustrowane na podstawie fotografij, wykonanych podczas podróży. Zdjęcia jednakże, które posłużyły w podobnych wypadkach jako materyał rysunkowy, robione były, z nielicznemi wyjątkami, w warunkach wygodnych, fotografowano bowiem łupy myśliwego, martwe już zwierzęta lub też osobniki, pozbawione wolności i ich typowego otoczenia.

Inaczej postąpił Schillings, który, zaopatrzony w odpowiednie przyrządy, starał się utrwalić na płytce stworzenia żywe i wolne: lwy, słonie, nosorożce i t. p., których spostrzeganie niejednokrotnie groziło odważnemu badaczowi prawdziwem niebezpieczeństwem. Nie trudno nam też pojąć radość jego, o której wspomina w przedmowie, gdy przyjaciel zawiadomił go telegraficznie, jednym tylko wyrazem „uratowana", o ocaleniu płytki, na której uchwycić się udało lwa, napadającego byka. „Kto chce zrozumieć moją radość", powiada autor, „niechaj sprobuje fotografować lwy w puszczy, po nocy".

Zdjęcia Schillings'a podzielić można na dzienne, robione przy pomocy różnoogniskowych anastygmatów i teleobjektywów, i na nocne — przy świetle proszków wybuchowych. W wielu przypadkach, szczególnie podczas zdjęć nocnych, dana scena prędzej została utrwaloną na płycie, aniżeli fotografowane zwierzę zdać sobie mogło sprawę z powstałego nagle blasku. W ten sposób udało się zachować całą prawdę natury i utworzyć z tych zdjęć istotne dokumenty przyrody. Zamiłowany myśliwy, człowiek niezwykłej odwagi i energii, zapragnął już podczas swej pierw-

szej bytności na stepach środkowej Afryki, w jakikolwiek sposób odtworzyć spotykane tam, potężne przejawy życia zwierzęcego i uprzystępnić je dla ogółu. Za najodpowiedniejsze i jedynie właściwe zdały mu się zdjęcia fotograficzne. Należało jednakże zwalczyć bardzo liczne i bardzo poważne trudności, nim wreszcie udało się wymyśleć przyrządy, które zaledwie podczas czwartej podróży (w 1903/1904 r.) pozwoliły otrzymać dawno oczekiwane wyniki, chociaż i tym razem dopiero po licznych, początkowych zawodach. Istotnie podziwu godna praca. Przeglądając rysunki, których przeszło 300 pomieszczono w dziele Schilinga'a, zgodzić się trzeba, że niezwykły wynik jego usiłowań, doprowadzić musi do nieoczekiwanych spostrzeżeń z życia zwierząt i zniewoli do dalszych prób na tem polu, nieocenionych zarówno dla badacza i artysty.

FUTRA.

Nadszedł sezon futrzany. Futra, których ciepło dopomaga nam tak skutecznie w walce z surowym klimatem zimowym, przybywają do nas zazwyczaj po bardzo dalekiej podróży.

Większość ich pochodzi z krain, gdzie zima niemal nieustannie panuje i gdzie jednym z głównych środków egzystencyi ludzkiej jest zabijanie zwierząt dla futra. Stamtąd zwożą je do Londynu, a dopiero Londyn—główne ognisko handlu futrami — zaopatruje świat cały tym artykułem. Aby przytem jaknajwięcej osiągnąć zysku, urządzają wielkie firmy futrzane co lat kilka przewrót w modzie futer.

Jakkolwiek z punktu widzenia... kieszeni, praktyka to bardzo niemiła, konieczną jest ona jednak także dla utrzymania pewnych gatunków zwierza, które w przeciwnym razie musiałyby wyginąć do szczętu.

Przedsiębiorcy robią najczęściej interes nietyle na cenach, po jakich sprzedają futra, lecz raczej na cenach nabycia. Do niedawna np. można było od łowców na Kamczatce najkosztowniejsze futro dostać za flaszkę wódki, na pół fuzlem zaprawnej. Jedno futerko sobole kosztowało nie więcej, jak 50 kop., niedźwiedzie 10 rb., niebieski lis 15 rb.

Z miejsca, gdzie zwierzynę zabito, wędrują futra na targi zachodnio-syberyjskie. Najważniejszym z nich jest Irbit. Wedle sprawozdania francuskiego konsulatu, sprzedano tam w r. z. 33,000 futerek sobolich, 4,850,000 wiewiórek, 130,000 gronostajów, 100,000 łasic, 47,500 lisów, 200,000 mandżurskich świstaków, 750,000 zajęcy, 180,000 kotów polarnych i 5.000 psów morskich. Sobole futerka dochodziły do ceny 150 rb., wiewiórki 40—50 kop., gronostaje 2 - 3 rb., łasice do 1 rb. Lisy płacono lepiej: po 5 -- 7 rb., niebieskie lisy po 100 - 260 rb. za sztukę.

Do niedawna bardzo poszukiwane były sobole. Ceny ich dochodziły wówczas do bajecznej wysokości. Wobec zmiany mody, dostarczono w r. z. już 20 - 25% soboli mniej, aniżeli przedtem. Także popielice (wiewiórki) mniej są obecnie poszukiwane. Natomiast podniosła się znacznie cena gronostajów. Jedno futerko płacono jeszcze niedawno po 30 kop., obecnie zaś nie dostanie go niżej 3—5 rb.

Z chwilą, gdy pewien gatunek futer wchodzi w modę, pojawiają się na targu zaraz imitacye, dozwalające także mniej zamożnym czynić zadość wymaganiom chwili. Obecnie np. tak często spotykane pseudo-gronostaje, za życia pokrywały grzbiety najzwyklejszych w świecie kotów, a biały zając bezkarnie udaje sobola. Będziemy też, zdaje się, często mieli sposobność podziwiać „prawdziwe sobole“, bo, jak statystyka konsularna podaje, zwieziono do Irbitu w jesieni r. b. okrągłe 250,000 futerek... białych zajęcy.

Od Syberyi do Ameryki północnej myśliwi wszędzie pilnie pracują, aby futer jaknajwięcej dostarczyć. W lecie polowano na psy morskie, w zimie łowiono je wielkiemi sieciami. W Północnej Syberyi pogoń za sobolami i srebrnemi lisami odbywała się gorączkowo, bez wytchnienia. W Południowej Ameryce Indyanie ubili mnóstwo szynszylli, w Australii legion kangurów oddał swoje piękne okrycie na użytek garbarzy i kuśnierzy.

Cztery razy do roku przybywają ze wszystkich stron świata kupcy do Londynu, aby na jarmarku futrzanym nabyć potrzebne, surowe skóry. W olbrzymich halach, gdzie jarmark się odbywa, piętrzą się stosy futer. Najdroższe z nich przechowują pod zamkami i ryglami. Syberyjski soból lub lis srebrny jest nieraz więcej wart, niż złoto jego wagi. Futra, w wartości milionów rubli, oczekują tu nabywców. Na jarmark, który rozpoczyna się w obecnej porze, przywożą futer wartości 8 milionów rubli. Skóry transportują w ogromnych rotach. Są one tylko osuszone i wyciągnięte po zdjęciu z upolowanych zwierząt. Dalsze, różnorodne zabiegi garbarskie dokonują się w Londynie. Z futer psów morskich potrzeba najpierw powyrywać długie, zewnętrzne włosy, aby dolny włos uczynić przydatnym do użytku. Jest on jasno-żółty, kędzierzawy. Później ufarbują go na brunatny kolor. Także rosyjscy kupcy muszą przybywać do Londynu, aby zakupić skóry sobolowe i srebrne lisy.

Wartość tych ostatnich zależy od koloru włosu. Jedne są jasne, drugie ciemne. Najdroższe są jednostajnie ciemne z białemi tylko końcami ogonów. Kołnierz ze srebrnego lisa kosztuje czasami jakich sześć tysięcy rubli. Jednakowoż farbowane, sztuczne lisy srebrne kosztują znacznie taniej, chociaż stosowana tu sztuka farbowania tylko końców włosów, jest bardzo złożona i trudna. I tak: sztuczne lisy srebrne w dobrym gatunku kosztują w garniturze: kołnierz i mufka jakich 80 - 100 rb., taki sam garnitur z prawdziwych lisów srebrnych kosztowałby piętnaście tysięcy rubli. Naturalnie, naśladownictwa sprzedaje się jako takie, a nie jako prawdziwe futra. Zwyczajne skórki sobolowe rosyjskie kosztują po sto rubli za sztukę; mogą być jednak tak farbowane, że tylko prawdziwy znawca odróżni je od skórek sobolowych, wartości 700 do 800 rubli za sztukę. Z takich skórek, które ważą tylko po kilka uncyj, a więc są droższe, niż równe im w ciężarze złota, futro średniej wielkości kosztowałoby czterdzieści tysięcy rubli. Sama mufka, uszyta z najpiękniejszych soboli, warta była przeszło siedm tysięcy rubli. Drogocenne futro daje także amerykańskie zwierzątko, zwane szczurem piżmowym. Tylko dobry znawca odróżni jego futro od psa morskiego, i to wyłącznie po rozmiarach. W odcinkach i kawałkach, futer tych zupełnie nie można od siebie odróżnić.

Bardzo pomysłowo zbudowane maszyny zszywają skórki tak delikatnie, że w futrze ściegów zupełnie nie można rozróżnić. Mufki szyje się na formach drewnianych, które następnie potrzeba rozbijać. Wszyscy robotnicy i robotnice zajęci w przemyśle futrzanym, są specyalistami. Wprawy w niektórych gałęziach tego przemysłu nabyć można dopiero po jakich dwudziestu latach nieustannej pracy.

Ciekawość ptaków.

W jednem z czasopism przyrodniczych, francuskich znajdujemy nadzwyczaj interesujący artykuł o objawach ciekawości wśród rodu ptasiego.

Jak wiadomo, ptaki wśród stworzeń żyjących prowadzą żywot najbardziej ruchliwy, dzięki łatwości w przenoszeniu się z miejsca na miejsce. Ta właśnie ruchliwość wyrobiła prawdopodobnie w ptakach zmysł obserwacyjny, przejawiający się ciekawością, jaką inne zwierzęta rzadko zdradzają. Czasem objawy tej ciekawości są zupełnie niezrozumiałe.

W pewnem małem miasteczku w księstwie Badeńskiem przez długi czas jedna z miejscowych gęsi była przedmiotem ogólnej wesołości: zawsze gdy strażnik polny przybywał na rynek, by obwieścić jakieś rozporządzenie i głośnem dzwonieniem zwoływał mieszkańców, gęś srokata wyrywała się z gromady swych towarzyszek, biegła śpiesznie ku strażnikowi i ulokowawszy się zawsze w pierwszym rzędzie słuchaczów, wyciągała szyję i przez cały czas odczytywania rozporządzenia, stała nieruchomo, jak gdyby słuchała tego, co strażnik czyta. Gdy skończył, opuszczała głowę, gęgając, i szła w ślad za strażnikiem przez całe miasteczko, zatrzymując się zawsze, ile razy zabierał się do odczytywania ogłoszeń, i zawsze nasłuchując z wyciągniętą szyją. Różne z tego powodu krążyły pomiędzy ludnością opowiadania, a wszystkie pełne niedorzeczności.

Ciekawość u niektórych ptaków bywa tak wielką, że nie mogą jej pokonać, pomimo widocznego narażania się na niebezpieczeństwo. Myśliwi, polujący na błotach i na wybrzeżach morskich, dobrze znają tę ich właściwość; wystarcza rzucić chustkę lub jakiś przedmiot biały, a zaciekawione ptaki wnet zaczynają się gromadzić, by zobaczyć, co to takiego. Strzelec nie kryje się wówczas, lecz z niewielkiej odległości sprząta jedną po drugiej, ofiary ciekawości.

Ptaki przelotne gromadnie zbiegają się u latarń morskich, co również przypisywane bywa ich ciekawości.

U ptaków domowych zawsze zauważyć można ciekawość, gdy przypadkowo znajdzie się który z nich naprzeciw lustra; zagląda, obchodzi, koniecznie chce wejść w bliższe zetknięcie z tym drugim z lusterka. We Francyi chłopcy łowią skowronki w ten sposób, że na lustrze, położonem na ziemi, zastawiają sidła.

Do najbardziej ciekawych ptaków należy papuga.

Przyrodnik Haast opowiada, iż miał papugę, która codziennie biegała po pokoju, przyglądając się uważnie każdemu przedmiotowi, a zatrzymując się zawsze znacznie dłużej przy przedmiotach nowoprzyniesionych, jakgdyby myślała: „tego nie znam jeszcze".

Brehm w swojem „Życiu zwierząt" przytacza przykład ciekawości papuziej: jakaś papuga zakradła się do mieszkania kolonisty w czasie jego nieobecności i poniszczyła mu meble, porozdzierawszy okrycia i podziurawiwszy wszystko, co się podziurawić dało. Naczynia szklane wszystkie wytłukła co do jednego.

Pociąg do kradzieży, właściwy krukom, srokom i wielu innym ptakom, również jest głównie wynikiem ich ciekawości.

Do gmachu ministeryum wojny w Paryżu niedawno wpadł kruk przez okno otwarte, do sali, w której odbywała się narada wyższych dygnitarzy wojskowych. Kruk spacerował po stole, a gdy go odpędzono, groził silnym swym dziobem. „Rada wojenna" nie mogła dać sobie rady z krukiem; musiano posłać po właściciela ptaka, który zabrał swego wychowańca.

I nasze ptactwo leśne nie jest pozbawione ciekawości. Miłośnicy lasów często mogą obserwować zainteresowanie, jakie ich własne osoby budzą wśród leśnych mieszkańców.

Z POZNAŃSKIEGO.

Polowania na kury w Poznańskiem, jak wykazuje sezon już ukończony, nie były bardzo udatne. Jedynie w okręgu Leszno były dobre rozkłady. W jednym z rewirów ubito w przeciągu paru dni 900 kuropatw. W większych majątkach było dużo starek, natomiast w drobnych posiadłościach przeważały młode.

Pierwszą słonkę widziano w Poznańskiem już d. 2 września. Tej jesieni było wogóle tutaj więcej słonek, niż zwykle.

Gołębie-grzywacze opuściły dęby, na których jest tego roku mało żołędzi, i osiadły na bukach czerwonych, pełnych bukwi.

Książę v. Thorn i Taxis, do którego należy Krotoszyn, nie przyjechał tego roku, jak zwykle, na polowanie podczas rui jeleni, ponieważ obawiał się panującej wówczas cholery.

Stan saren jest wyborny, a na zimę mają zapewniony pokarm dobry w postaci jeżyny, która doskonale obrosła.

Polowania na zające zapowiadają się świetnie.

Kłusownicy rozpanoszyli się tu strasznie. Zabili oni niedawno syna gospodarskiego z Benicy pod Krotoszynem, Jana Szlachtę. Zabójców widział włościanin Kasprzak, wskutek czego nazajutrz ich uwięziono.

Zaszedł tu także nieszczęśliwy wypadek z bronią. Dzierżawca Adamczewski z Biernatki wybrał się na polowanie ze znajomym, Wojciechowskim. Zaraz po wyjściu z domu, A. schylił się, by coś podnieść, i wtedy fuzya sama wystrzeliła, zabijając na miejscu Wojciechowskiego pełnym ładunkiem śrótu.

J.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Od dłuższego czasu nie zdawaliśmy sprawy z czynności Rady naszego Oddziału, bowiem niepokój, jaki w ostatnich czasach ogarnął kraj cały, wywołał w biegu wszelkich interesów stagnacyę, a więc i w naszem Towarzystwie. Uwaga ogólna zwróciła się w kierunku ważniejszym od myślistwa; strejki kolejowe, pocztowy i telegraficzny wstrzymały dopływ korespondencyi i możność porozumiewania się z kimkolwiek na zewnątrz, to też na niektórych posiedzeniach Rady, oprócz bieżących asygnacyj, nie było nic do załatwienia.

Cofając się do lepszych, przed-strejkowych czasów, mamy do zanotowania następujące czynności Rady.

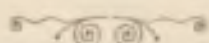
Komitetowi Obywatelskiemu pomocy dla robotników i ich rodzin, pozbawionych wskutek strejku powszechnego środków do życia, postanowiono dać zasiłek w wysokości 250 rb.

Starszemu rewirowemu cyrkułu mokotowskiego, Szewczence, za gorliwe tępienie nieprawidłowego handlu zwierzyną, na przedstawienie d-ra Chrostowskiego, przyznano 20 rb. nagrody.

Wydział Ochrony i polowań we właściwym czasie dokonał losowania kandydatów na zimowe polowania. Zapisów było wogóle 112, a miejsc na polowaniach 123. Postanowiono przeto przedłużyć zapisy, aż do skompletowania potrzebnej liczby strzelb na VIII polowanie z tem zastrzeżeniem, że zapisujący się po losowaniu Członkowie otrzymają miejsce na VIII, nie na innem polowaniu.

Ogłoszenie stanu wojennego w całem Królestwie skłoniło Wydział do zawieszenia polowań wogóle. Dopiero po zniesieniu stanu wyjątkowego wyznaczono nowe terminy. Odbyły się dotychczas polowania, których rezultaty podajemy w Kronice myśliwskiej. Z następnemi polowaniami bieda, bowiem pogoda nie dopisuje; jest za ciepło, na polach po-

lować nie można, Wydział przeto co parę dni odbywa posiedzenia, aby się stosować z wyznaczeniem polowań do ostatnich wskazań termometru i barometru.



Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

W d. 4 i 5 grudnia r. b. odbyło się polowanie u p. Stanisława Sonnenberga w Kijanach. Na tegoroczny sezon myśliwski przypadły pola kijańskie i las folwarku Krzesimów. W 12 strzelb zabito 1-go dnia: 223 zajęcy, 27 kuropatw, 3 bażanty i 1 jastrzębia — sztuk 254; 2-go dnia: 177 zajęcy, 3 rogacze, 1 lisa, 4 kuropatwy i 1 jastrzębia — sztuk 186. Razem z dwóch dni: 400 zajęcy, 3 rogacze, 1 lis, 31 kuropatw i 2 jastrzębie. Ogółem sztuk 440. Królem polowania z obydwóch dni był p. Stanisław Lilpop z Brwinowa, mając na rozkładzie 76 sztuk.

W d. 9 grudnia przy bardzo mglistej pogodzie odbyły się dwa polowania Członków Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa praw. myśl. Polowano równocześnie w 19 strzelb na terenach osieckich w rewirze Pola Osieckie i w tyleż strzelb w dobrach miedzeńskich, w rewirze Wrotnów. Na polach osieckich zabito: 132 zajęcy i 12 kuropatw. Królem polowania był p. Franciszek Ejsmond, który zabił 11 zajęcy i 3 kuropatwy. We Wrotnowie zabito: 128 zajęcy, 1 lisa i 7 kuropatw. Królem był p. Wacław Paszkowski, który miał na rozkładzie 19 zajęcy.

W d. 11 grudnia w 19 strzelb polowano na Pogorzeli, w dobrach Osieckich, i zabito 138 zajęcy i 2 kuropatwy. Królem był p. Stanisław Dziechciński, który zabił 15 zajęcy i 1 kurę.

Drobiazgi myśliwskie.

Kaczki wabiące. P. H. Mańkowski z Gdańska pisze w „Zwinger u. Feld": Stwierdzono, że kaczki dzikie łączą się na wodach ze swym rodzajem oswojonym, stając się w ten sposób trochę mniej płochliwemi względem ludzi. Z tego doświadczenia korzystają ludzie, by za pomocą domowych wabić dzikie kaczki. Wzorowe urządzenie takie spotykamy w dobrach Cadinen, między Elblągiem (*Elbing*) a Brunsbergiem, należących do Wilhelma II. Leśniczy hoduje tam w tym celu około 100 kaczek wabiących, które są tak tresowane, że na znany im okrzyk leśniczego, przyfruwają, a będąc na wodzie, na rozkaz otrzymany, zanurzają się szybko, a potem chowają się w gąszczu pobliskim. Pokarm przyjmują z rąk hodowcy. Za pomocą tych oswojonych kaczek, leśniczy ubił w roku zeszłym 600 dzikich. Kiedy myśliwy nabija strzelbę, kaczki domowe zwykle chowają się pod wodą, aby uniknąć spotkania się ze strzałem.

Ograniczenie myśliwskie. W Saksonii dotychczas istnieje prawo, wzbraniające nauczycielom ludowym uczestniczenia w łowach i wogóle polować. Na ostatnim zjeździe delegatów związku nauczycielskiego w Lipsku uchwalono wystąpić do ministeryum o zniesienie tego zakazu.

Kosztowne jaja. Posiadanie jaj sokoła olbrzymiego stanowi majątek, ale jaja tego ptaka wymarłego są tak rzadkie, że kilka zaledwie muzeów na świecie szczycić się może posiadaniem takiego klejnotu. Wiele kosztują jaja ptaków, często jeszcze obecnie spotykanych, wskazuje nam katalog jaj ptasich ze składu Kricheldorffa w Berlinie. Jajko wróbla domowego oznaczone jest sumą 5 fenigów, zaś orłosępa (alpejskiego) 40 do 45 marek. Jaje kruka kosztuje 7,50 m., słonki — 4 m., stepówki — 25 m., dropia indyjskiego — 18 m., nura — 5 m. Jajko orła łomignata kosztuje, stosownie do pięknego upstrzenia, od 12 do 20 m., podczas gdy jaje orła cesarskiego tylko 5 m. Jaje sokoła islandzkiego — 14 m., sowy uralskiej 15 m. Wysoką cenę ma jaje dość rzadkiego obecnie dropia andaluzyjskiego, które kupić można za 17,50 m.

Upadek hodowli bażantów. Przez setki lat cieszył się dobrą opinią bażant czeski, oraz polowania czeskie na bażanty. Z czasem jednak, gdy bażanty zaczęły się tam coraz skuteczniej aklimatyzować, zaczęto powoli zaniedbywać hodowli bażantów i zwrócono się do pielęgnowania dzikich bażantów na swobodzie. Rezultaty odstrzału są teraz nie o wiele mniejsze, niż dawniej, przy specyalnej hodowli, która wymagała znaczniejszych ofiar czasu, trudu i pieniędzy. Dzikie bażanty dają też strzelcowi zupełnie inne zadowolenie przy strzelaniu, niż wyhodowane bażanty bezradne, niezgrabne, ledwie się poruszające. Obecnie mało kto z panów czeskich pozwala sobie na zbytek w postaci bażantarni z hodowlą specyalną. Podług twierdzenia jednej z gazet czeskich, liczba bażantarni ze specyalną hodowlą w Czechach w ostatnich 20 latach zmniejszyła się znacznie: wtenczas było ich 413, a teraz jest tylko 209, do czego przyczyniło się nazbyt kosztowne utrzymanie tego rodzaju bażantarni. Niegdyś czeski bażant zamienił się w obecnych czasach na ptaka międzynarodowego, a czeski myśliwy na bażanty jest teraz rozumnym hodowcą dzikich bażantów.

Krwawienie ucha u psów myśliwskich. Krwawienie ucha oznacza wylew krwi między naskórkiem a chrząstką muszli usznej. Powstaje ono przez zdrapanie ucha, uderzenie go o obrożę, skaleczenie z powodu ukąszenia i t. d. Chorobę tę, jak pisze jedno z zagranicznych pism myśliwskich, trzeba leczyć starannie, gdyż inaczej powoduje zgrubienia i wykrzywienie muszli usznej. Ujawnia się to przez nabrzmienie ucha ze strony wewnętrznej, rzadziej z zewnętrznej, która się wypełnia elastycznie, boli bardzo przy nacisku i zabarwia się czerwonawo. Pacyenci trzymają zwykle głowę krzywo. Postępowanie polega na przecięciu obrzmienia w dużym przekroju podłużnym usunięciu ropy krwawej i tkanki skruszonej, oraz na czyszczeniu otworu rany wodą kreolinową lub karbolową. Po wyczyszczeniu kładzie się kłak [illegible] hygroskopijnej do otworu rany, układa uszy na gł[illegible]ie, jedno przy drugiem, pokrywa je warstwą waty i utrzymuje w tem położeniu za pomocą opaski. Opatrunek trzeba zmieniać codziennie.

Nowy pocisk. Nowowynaleziony model pocisku w płaszczu miedziano-niklowym, zwany „Collath", ma tę zaletę, że każdy myśliwy i strzelec może go zastosować do swej lufy kulowej, ponieważ pasuje do wszelkich konstrukcyj i gwintów. Dotychczasowy pocisk w płaszczu stalowo-niklowym wymagał umyślnie zbudowanej, silnej broni z osobnemi gwintami i sznelerem. Dotąd nie można było strzelać pociskiem w płaszczu stalowym z broni dowolnej, zaopatrzonej w gwinty ekspresowe lub systemu Hohlfelda do pocisków ołowianych lub aliażowych. Gdy dopasowano pociski do kalibru, to były zamałe do gilz, nie znajdując w nich oparcia; gdy znowu dopasowano pociski do gilz, to były za mocne dla odpowiedniego kalibru. Używanie takich pocisków przedstawiało wielkie niebezpieczeństwo dla strzelców. Pozatem gwinty ekspresowe lub Hohlfelda przez obecne pociski tak znacznie się zużywały po krótkim czasie, że nawet przy zastosowaniu najlepszego materyału lufowego, bronie te stawały się prędko bezużytecznemi. Wyższość tych pocisków w płaszczu miedziano-niklowym

nad innemi pociskami w płaszczu stalowym, aliażowym, ołowianym lub w obwódce papierowej, polega na tem: 1) pociskami temi strzelać można z każdej broni; 2) gwinty zostają nietknięte po wieloletniem używaniu; 3) tarcie jest znacznie mniejsze, ciśnienie gazów nie tak silne, szybkość początkowa bardzo duża; 4) z powodu kształtu i miękkiego płaszcza miedziano-niklowego osiąga się kolosalną penetracyę (kula wchodzi głęboko, jakby wysztancowana). Pocisk ten służy zarówno do zwierzyny, jak do tarczy.

Psy na usługach policyi. Z Wiednia donoszą, że idąc za wzorem Niemców, mają austryackie urzędy policyjne również używać wytresowanych specyalnie psów do swoich usług. Początek zrobiono w Cieplicach, gdzie tamtejsza policya posiada już dwa psy, t. zw. „pincze Dobermana", wielkie i bardzo silne zwierzęta, zaprawiając je do usług policyi. Psy te służą obecnie policyantom do obrony ich osób w nocy podczas patrolowania, a równocześnie wietrząc i dając znaki, ostrzegają swoich panów. Psy są tak wytresowane, że nie kąsają człowieka, ale go zatrzymują. Dyrekcya policyi w Pradze zażądała od policyi w Cieplicach wyjaśnień, czy psy owe mogą oddać rzeczywiście znaczniejsze usługi na tem polu, ma bowiem zamiar, w razie dodatnich wyników, również posługiwać się niemi.

Mody futrzane. Popielice i bielistki, noszone przez panie futrem na zewnątrz, wyszły obecnie z mody, na czem stracili przedewszystkiem fabrykanci futer sztucznych, t. j. sporządzonych z rozmaitych tanich skór, pomiędzy innemi zajęczych. W roku ubiegłym handlarze podwórzowi skwapliwie nabywali futerka zajęcze, płacąc po 15 i 20 kop. za sztukę. Obecnie ceny futer zajęczych spadły. Myśliwi w Cesarstwie również nie mogą zbyć olbrzymich ilości przygotowanych na sprzedaż skórek, których już nik nie farbuje i nie przekształca na popielice.

Walka tygrysa ze słoniem. Jeden z wasalów Francyi, król Annamu, powziął niedawno projekt urządzenia niebywałego widowiska. W stolicy jego, u ozcic Huet, przygotowano na prędce arenę i w dnkono m czonym w obecności tysięcy widzów, wypuszczchowynią słonia i tygrysa. Zwierzęta z początku zpiero wały się względem siebie dość obojętnie, i w nich energiczna podnieta ze strony służby obudziła s, któ namiętność do walki. Pierwszy rzucił się tygry jednej ry skoczył na kark słoniowi. Ten jednak wścisnął chwili schwycił go w poprzek ciała swą trąbą i sie za tak mocno, że aż kości trzeszczeć już w tygr tygrys częły. Ostatnim wysiłkiem zdołał się jeszcze no wydostać z tych objęć i wpił się zębami w ty ogą, gę słonia, ale ten z tak straszną siłą uderzył g że zmiażdżył tygrysa na miejscu. a-

Kulony w Bawaryi. Rzadkiego w Bawa ka, kulona, ubito dwa osobniki pod Monachium października. Właściwą ojczyzną kulona (*Oedicnemus crepitans*) są kraje Europy południowej, Afryka północna i Azya środkowa. Na Węgrzech, w Austryi i Niemczech zjawia się także, ale rzadko. Znajduje się również w Holandyi, Wielkiej Brytanii oraz Danii. Regiony te opuszcza późną jesienią i wędruje na południe Europy, skąd wraca na wiosnę.

Zarazą na łosie w Szwecyi. W dobrach Linspoug zauważono pierwszy raz w maju r. b. początek zarazy na łosie. Mimo środków ostrożności, jakie przedsięwziął rząd szwedzki, epidemia się rozszerzyła i dotychczas padło już jej ofiarą sztuk 70. Weterynarze twierdzą, że łosie zaraziły się od bydła domowego na pastwiskach, które było dotknięte chorobą zapalenia śledziony.

3 tysiącznego jelenia ubił niedawno następca tronu austryacki, arcyksiążę Franciszek Ferdynand, gorliwy myśliwiec i wyborny strzelec kulowy. Jubileuszowy jeleń był nieprawidłowym dziesiątakiem.

Ubicie flaminga. Z bażantarni księcia Schaumburg-Lippe uciekł flamingo na początku października. Po tygodniu ubił tego ptaka leśniczy w rewirze pod Hanowerem. Był to stary samiec, wysoki 1,72 m., szerokość skrzydeł 1,79 m.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" J. O. (*C. d.*).

Kaczka.

28. Przyjdzie święta Weronika, zniesie jaje kaczka dzika.
29. Cieknie z niego, jak z kaczki.
30. Zgrabny do tańca, jak kulawa kaczka.
31. Świętego Benedyka zniesie jajko kaczka dzika.

Kaczor.

1. Kto chce wygrać kaczora, musi stracić gąsiora.
2. Ni to kaczor, ni to kaczka.

Kania.

1. Czeka, jak kania dżdżu.
2. Dzieci! kania leci.
3. Dziobią się, jak kanie.
4. Do świętego Jana woła deszczu kania, a po świętym Janie chodzą po wodzie kanie.
5. Kontent, jak z deszczu kania.
6. Łaknie, jak kania deszczu.
7. Wygląda męża, jak kania deszczu.
8. Sokół nielowny za prostą kanię stoi.

Kapłon.

1. I kapłon zapieje, kiedy słońce przygrzeje.
2. Kogo kapłon nie potępi, tego szczupak nie zbawi.

(*C. d. n.*).

Treść Nr. 24 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskieg. Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.